Nr. 52 (1200). Warszawa, (13) 26 Grudnia 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Redakcyi.

Szanownych Abonentów prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty, która nam pozwoli w porę zadość uczynić ich żądaniom.

POLITYKA.

Los Japonii.

Wiatr wschodni nawiewa wiadomości niedobre. Na streszczoną tu propozycyę, niewątpliwie japońską, aby Korea zostawała pod wpływem Japonii, Rosya korzystała nadal z pozyskanych już przywilejów, nadto pomiędzy Port Arthurem a Władywostokiem miała zapewnioną niczem nietamowaną drogę, nakoniec, aby Mandżuryę uważać za leżącą w potęgowym obszarze Chin — na tę propozycyę nadeszła odpowiedź, którą roztrząsano w Tokio na wielkiej, nadzwyczajnej radzie koronnej we czwartek przeszłego tygodnia. Z tej rady podobno wyszło postanowienie, aby wysłać jedną jeszcze, ostatnią już propozycyę, a po niej, gdyby zawiodła — pochwycić za oręż. Jaką jest lub być ma ta ostatnia próba — najlżejsze nawet nie błyska światełko. Wogóle jeśli mówimy o propozycyi odrzuconej, wskazujemy raczej przedmioty w niej dotknięte, niż zarysy upragnionego przez tych, którzy z nią wystąpili, urządzenia stosunków. Bardzo mało wiemy o stanie układów, o ich treści, o kolejach czynionych propozycyi i granicach przez jedną stronę stawianych zamiarom drugiej.

Najogólniej określić można wolę Japonii, przedzierającą się przez przeciwności obecne w ten sposób, że chce ona Koreę zatrzymać dla siebie, dla wpływów swoich, a sprawę Mandżuryi uznaje za należącą wyłącznie do Chin w tem tylko przeświadczeniu, iż Chiny nie odważą się ostatecznie, nie będą mogły pod naciskiem Anglii, wyrzec się odwiecznej swojej własności. Oba te momenty woli japońskiej tkwią w złudzeniu: ani Rosya nie wyda Japończykom Korei, choćby tylko jako sfery wpływu, ani Chiny, czy to pod naciskiem Anglii, czy same, nie postawią Mandżuryi na kartę wojny — jedyną dowodzącą rzetelnego przekonania o prawie i szczerej dążności do zapewnienia mu tryumfu. Nie mamy żadnego powodu do mniemania, że Japonia łączy nierozerwalnie obie sprawy; ale możemy wysnuć daleko idące wnioski z najnowszego doniesienia, że w układach dalszych sprawa Mandżuryi odrąbaną będzie od sprawy Korei. Nie Japonia, ale Rosya tego rozerwania zażądała, bo nie w japońskim, ale w rosyjskim interesie leży oddzielne ich traktowanie: o Koreę z Japonią, o Mandżuryę z Chinami. Dyplomacya japońska ma już teraz zamknięte usta; jeśli zechce mówić o Mandżuryi, druga strona zatka sobie uszy. Ta wszakże uporczywość dotychczasowa Japonii, to jej oglądanie się na Chiny lub Anglię, nie jest czczą tylko fantazyą, ślepą żądzą polityków, którzyby ulegali patryotycznym rojeniom więcej, niż nakazom politycznego rozumu.

Niezależnie od wszelkich celów ekonomicznych, od polityki handlowej, do której tak bogata jak Korea kraina zaprasza każde bogactwo, każdą siłę i energię—półwysep ten snadniej i prędzej znajdzie się w sferze nieuniknionego wpływu Rosyi, im mocniejszą będzie jej podstawa polityczna i kolonizacyjno - handlowa w Mandżuryi. Rosya, przechowująca ściśle w wieku XX tradycye XVI-go i XVIII-go, ze wzmożoną tylko prędkością dążyć musi do celu, w którym idea wielkości zbiega się z trzeźwym interesem politycznym. Z drugiej strony Japonia, jak to już na tem miejscu powiedziano, potrzebuje Korei nietylko dla nadmiaru swej ludności, dla wzmocnienia swego tętna ekonomicznego, ale i dla samego bezpieczeństwa terytoryum państwowego. Pomiędzy dwoma mocarstwami wielkiemi mały półwysep nie utrzyma swej niepodległości: musi być albo rosyjskim, albo japońskim. Aby nie stał się rosyjskim, interes nakazuje Japonii żądać opuszczenia Mandżuryi, liczyć na nie jako na wypadkową już zawiązanych stosunków, zamknąć Rosyę w granicach czystego tylko przedsiebiorstwa kolejowego na gruncie pod kolej użyczonym.

Tam, gdzie dążenia są tak biegunowo sobie przeciwne—atrament nawet najmędrszy nic nie poradzi. Japonia, działająca wbrew nakazom rozumu politycznego, który od tego rozumem jest, aby przewidywał konieczne z dnia dzisiejszego jutro— znajdzie się odrazu w okresie upadku. Będzie to dopiero początek, ale już będzie. Zamiast jednego nieprzyjaciela, Japonia zyska z czasem dwóch: jednego po za sobą, drugiego w sobie — i ten drugi groźniejszym dla niej się stanie. Tymczasem niebezpieczeństwo zewnętrzne jest tak jasnem, że ślepota tylko może go nie widzieć. Misya admirała Aleksiejewa i p. Pawłowa do Soeulu jest rzeczywistszą odpowiedzią na propozycye japońskie od tej, która na drodze dyplomatycznej do Tokio się dostała.

Już jeden z dzienników angielskich donosi o konwencyi militarnej z Koreą, taka zaś konwencya usunęłaby zupełnie półwysep z obrębu układów dyplomatycznych. W takim razie, po wyeliminowaniu poprzedniem Mandżuryi, niby już zgoła nie zostało, o coby się układać można. Prawdopodobną też jest wiadomość, że flota japońska otrzymała zapieczętowane rozkazy. I Anglicy ruszać się zaczynają— czy tylko w imię przymierza z r. 1902? Czy też dla schwytania jakiego tłustego połcia?

Nowe Koło polskie.

Berlin, 20 grudnia.

Przybyli w podwoje gmachu, który wielki, ciężki i niezgrabny, pod grubą, złoconą kopułą rozsiadł się nad Szprewą, jak przysadzisty, niemiecki dorobkiewicz, wypucowany i wymyty od święta, a jak żandarm, kaskiem przykryty. Przybyli wraz z „kolegami," prawodawcami z czterech stron wielkiego państwa, z nad Odry, Elby, Renu i od podnóża białych Alp.

Jest ich szesnastu obcych wśród trzystu ośmdziesięciu i jednego. Gromadka ich zwiększyła się o dwóch. Jeden z pogranicza północno-wschodniego, z Torunia, drugi z południowo-wschodniego, z Katowic. Są żywem przedstawicielstwem ciężkiego, jak zmora, niebezpieczeństwa wschodniego, są znakiem obrony od nowożytnych słupów żelaznych, wbijających w Wiśle znak panowania możnych bagnetów; od wykupna ziemi i zamęczania dusz.

Urodzeni są i kształceni w ziemi, uważanej za najbardziej reakcyjną pośród krajów obszernego państwa. I rzeczywiście, pozostała ona aż dotąd wiejską, a wieś jest chłopską i junkierską, po polsku mówiąc— szlachecką. Ruch municypalizacyi, który w mieście ogniskuje zmiany społeczne i współzawodnictwo nowych ruchów— ów nowy postęp społeczny, tego na wschodzie niema i kraj pozostaje polem, rolą. Włościanin, oddający zagon rodzinnej ziemi dla lepszych, niż jego wolne dochody, zarobków najemniczych, parobek, nad nędzną dolę zależnego osobiście sługi, przenoszący wspólny byt proletaryacki — są oni i w Poznańskiem, są w Prusach Zachodnich. Ale od lat trzydziestu udeptali ścieżkę od kraju swego na zachód i pracę swą ochoczą, krew rzeźką wlewają w żyły bogatych organizmów niemieckich. Na wschodzie cały postęp, wniesiony przez pruską gospodarkę, przez germańskie państwo — to *organizacya*, a nie kultura społeczna. Szkołę tam dano ciasną, wydyscyplinowaną, jak mustra koszarowa. Pozostawiono kościół możnym i władnym, poczem zwrócono przeciw niemu konkurencyjne zabiegi innego kościoła, czem duszy ludu nie rozjaśniwszy, uczyniono go bardziej jeszcze poddańczym dla religijnej instytucyi, a obrońcą własnego okłamania. I oto na tej wsi, której zagonów zawsze strzegą: spasły pleban wioskowy i nadęty półpanek z dworskiego pałacu, panuje dalej wioskowa, skromna i bogobojna, ciemna i ciężka krzywda człowiecza.

W przedstawicielstwie parlamentarnem tego kraju widzimy odbity taki właśnie jego charakter. Jest w nim więc ten ustrój katolicki i szlachecki, wsią władny. Cała dotychczasowa tradycya berlińskiego koła parlamentarnego to owa półpańska i ćwierćpańska buta. Ciasnota zakutych głów, wierzących w prawdy własnego powiatu.

Przez samą już moc bezwładności przedstawiciele tych tradycyj są i w „nowem" Kole. Jest reprezentant historyczny rodowej polsko-pruskiej ugody, pruski magnat ziemski, od dobrych czasów poparcia milionowego wydatku na armię właściwy przedstawiciel zewnętrzny Koła. Jest paru znacznych obywateli ziemskich z Prus Zachodnich; zaś obok nich prałat papieski, posiadacz tłustej prebendy, umiejący uprawiać świetnie polską politykę na śliskich, dworskich i ministeryalnych posadzkach, rad ze „stosunków," rad z mniemanego wpływu, pyszny typ polskiego jezuity, hodującego fałsz dla fałszu, nie osiąga bowiem nigdy pożytku ze swych krętactw kameleonowych.

Skromna to gromadka niewzruszonych konserwatorów szlacheckich. Ich stajnię augiaszową oczyszczono już z wielu okazów dorodnych. Zabrakło salonowego mówcy agraryuszów, Dziembowskiego; zabrakło większych i pokorniejszych, przed wielkimi małych półpanków: Kościelskiego, Cegielskiego i Komierowskiego. Opozycya polityczna powstała na ziemi wielkopolskiej, dotarła aż ku Kwidzyniowi i podniecona śląskim ruchem odrodzenia, stanęła do walki z dotychczasowem kierownictwem.

Skąd ta opozycya powstała? Jakie były jej środki i cele?

Nie było w niej ani mieszczaństwa świadomego swej siły i roli własnej, ani zorganizowanego ruchu ludowego. W zasadniczej przyczynie leżał przedewszystkiem zdrowy rozum chłopski i owa „ludu siła niepożyta," o której mówi nam pieśniarz wielkopolski," gdy przepowiada, że zbawienie nasze leży pod siermięgą chłopa.

Tak jest nawet tutaj, w tym dorocznie wyludniającym się kraju wioskowym. I tutaj lud, zaznawszy korzyści i ciężarów organizacyi społeczno-państwowej, zapragnął dogodniejszej dla siebie.

Niewyrobione i niejasne bardzo to dążenie. Drobni rzemieślnicy, majstrowie, drobni handlarze przychodzili do dostatku i znaczenia. Szlachta swą wielką polityką roku 1893 i oddawaniem znacznych przestrzeni ziemskich komisyi kolonizacyjnej dyskredytowała się. Polityka celna poruszyła szerokie masy i obudziła ogólne niezadowolenie. Września i prześladowanie szkolne wpłynęły podniecająco na niechęć do rządu pruskiego. Na tem tle powstała właściwie najsilniejsza niechęć przeciw wielkim dworom i despotycznemu kierownictwu księży. Naraz, na wszystkich polach, zażądano zmian.

I w nowe Koło dostawał się każdy siłą i obszernością przeczeń, nie żadnem pozytywnem hasłem, tem mniej programem. Tak zamiast Dziembowskiego przyszedł Chłapowski, gdyż w tej chwili na tle dzielnego przedstawiciela szlacheckiej zachowawczości dobrze odbijał skromny, spokojny, bezprogramowy mieszczanin; podobnie Grabski zastąpił Komierowskiego. Zamiast agraryusza hr. Kwileckiego wybrano hr. Mielżyńskiego, bo gorąco protestował przeciw rządowi za ustawę uchwały celnej; zamiast drugiego, skromnego agraryusza, Cegielskiego, wybrano Skarżyńskiego, zwalczającego rząd za nałożenie *zbyt małych* ceł. Czartoryskiego zwyciężył Mycielski, bo żywo krytykował wielką politykę poselską, radząc większą, niejasnymi, słowiańskimi frazesami otumanioną. Obok tych do nowego Koła weszli trzej ludowcy mocą długo prowadzonej agitacyi w dziedzinie reform ekonomicznych, a przeciwko wielkiej własności i księżom: Kulerski, Brejski i Korfanty.

Pomiędzy tylu nowymi ludźmi, z których

---

3)

Hans Leuss.

Z więzienia poprawczego.

(Dokończenie).

Zaprowadzono nas w więzieniu najprzód do kąpieli. Kiedym już siedział w wannie, przyszedł golarz, także więzień, za zabójstwo skazany. Musieliśmy podnieść się z ciepłej wody i usiąść na skraju wanny, aby nas mógł ogolić i ostrzydz przy samej skórze. Podczas tej operacyi nieobtarte z wody ciało obejmował chłód zimowy, zęby szczękały i trząsłem się, jak w febrze. Po wyjściu z kąpieli ubierać się trzeba było na zimnej podłodze. Każdy z nas dostał dwa ciemnobrunatne, płócienne ubrania, kaftan jasnobronzowy, fartuch roboczy, bieliznę, pościel, dwie pary trzewików, grzebień, szczoteczkę do zębów i inne tym podobne sprzęty. Po przedstawieniu się dyrektorowi, następnie inspektorowi robót, zaprowadzono nas w końcu do doktora. Zbyt lekko odziany, zmarzłem do szpiku kości, wyczekując na przyjęcie w zimnym korytarzu.

Po jednym wpuszczano nas do gabinetu lekarza; lecz przedtem w ogrzanej sali szpitalnej, w obecności w łóżkach leżących lub dookoła siedzących chorych, kazano nam rozebrać się do naga i tak czekać na swą kolej. Nagich prowadzono przez zimny korytarz do zbadania.

Po ukończeniu wstępnych czynności wyznaczono mi celkę. Była zupełnie nieogrzana, o temperaturze około 10 stopni Reaumura. Wchodząc tu, postanowiłem sobie, nie dać się niczem ze spokoju wyprowadzić, lecz to pozbawienie ciepłej odzieży i wtrącenie w płóciennem ubraniu do zimnej celi oburzyło mię. Jeszcze bardziej w dalszym ciągu utrudnił mi dozorca wytrwanie w mem postanowieniu. Był on, jak się później dowiedziałem, ogólnie przez wszystkich więźniów znienawidzony, przez władzę jednak za „najpewniejszego" uważany.

Na bardzo małym korpusie tkwiła głowa o silnym, lecz nieprzyjemnym charakterze, w dziwnej sprzeczności z mizernem ciałem. Blado-niebieskie oczy, otoczone zmarszczkami patrzyły twardo, jak stal; po obu stronach ust biegły także głębokie bruzdy, dopełniając wrogiego, szpiegującego wyrazu twarzy. Nietylko wygląd, sam głos jego sprawiał mi przykrość. Lecz na drugi dzień po zamknięciu mojem w celi powiedziałem sobie: Co ten człowiek musiał przeżyć. Spójrz na te zmarszczki na jego twarzy. Może on nieszczęśliwszy od ciebie. I doznałem od tej chwili wewnętrznego uspokojenia, nawet współczucia dla niego.

* * *

Unikałem wszelkiego zetknięcia z innymi więźniami, po największej części ludźmi młodszymi odemnie. Podług regulaminu niewolno nam było rozmawiać ze sobą: w milczeniu wykonywać mieliśmy te roboty, które wspólnie odrabiać trzeba było, w milczeniu golarz spełniał nad nami swą powinność, i tylko z dozorcą, lub z kierownikiem warsztatu mogliśmy od czasu do czasu słowo zamienić.

Mnie kazano wypłatać trzciną siedzenia do krzeseł. Robota łatwa do nauczenia, ale wymaga wprawy, aby módz wykonać przepisane trzy siedzenia dziennie. Nauczyłem się jej prędko, lecz z początku ostra trzcina kaleczyła mi ręce, które w dodatku odmroziłem.

Mróz nie zwalniał. W celach panowało straszliwe zimno. Gmach stary, nie posiada ogrzewania centralnego, więc ocieplano celki za pomocą małych piecyków, w których palono od strony korytarza, tylko raz

każdy, jeśli bierzemy pod uwagę całość światopoglądu społeczno - politycznego, przedstawia odmienny program, trudno znaleźć łącznię jakiegoś „stronnictwa ludowego.“ Ich przeciwności wiązał może najlepiej i ku jednemu celowi umiałby prowadzić Józef Głębocki, niedawno po dwakroć zwycięzca przeciw klerykalno-szlacheckiej opozycyi swego powiatu, zmarły w przeddzień sesyi parlamentu. Mówca to był przedewszystkiem, stary, polski mówca sejmikowy. A także stary, szlachecki, sejmikowy demokrata. Trochę, jak nasi „gardłacze,“ błagą i deklamacyą strojny; rubaszny, jowialny, przecie szczery; z głębi duszy bardzo żywej i gorącej płynęła jego szeroka chęć demokratycznej, powszechnej swobody, jako też i głębokie poczucie krzywdy narodowej, ostre, namiętne protesty przeciw uciskowi, ostrzejsze jeszcze, gdy trafiały na słabość lub nikczemność własnych rodaków. Charakterystycznym był stosunek Głębockiego, który zresztą nigdy nie zasklepiał się w sprawach własnej dzielnicy, do najnowszych stosunków politycznych w Galicyi: wcale go mianowicie nie cieszył ostatni rozwój tamtej polityki demokratycznej. Gdy ciągłe zarzuty wrogów, w szczególności Sattlera, zwróciły jego uwagę na stosunek Polaków do narodowości ruskiej, pojechał sam na miejsce przekonać się o stanie rzeczy. Następnie wszędzie, gdzie mógł, na zebraniach prywatnych czy publicznych, wywoływał gorące dyskusye, w najżywszych słowach piętnował obłudną i złą politykę względem Rusinów, a nowej młodzieży „demokratycznej,“ od ucisku słabszych rozpoczynającej swoje polityczne kształcenie, ostre dawał nauki. W ostatnim czasie Głębocki najżywiej bronił secesyi wyborczej posła Kulerskiego, widząc w niej wyraz najwyższego, jak mówił, prawa — woli ludowej. Z jego śmiercią nowym żywiołom w Kole zabrakło przewodnika.

Zresztą, tylko siłą krasomówczą i ostremi wystąpieniami nazewnątrz można było jako tako przeciwieństwa załagodzić. Rzeczywistym programem politycznym je połączyć niepodobna. Posłowie nowi — to z małym wyjątkiem szkoła polityczna *Orędownika*. Każdy wyrobił się, jako ciasny w sobie, zamknięty domek. Z kółkiem, czy gazetką, jakie stworzył, zasklepił się w pojedynczych interesach; z nich żaden nie umie się wznieść ani do ogarnięcia szerokiej, za słupy graniczne rozciągniętej przestrzeni, ani też do pojęcia gruntownego wielkiego programu zmiany społecznej, wykraczającego po za ramki interesów, z dnia na dzień znaczonych. Jeżeli w granicach tego programu pracy organicznej, czy poglądu walki klasowej powstanie jakakolwiek myśl polityczna — będą to tylko niejasne, słowianofilskie hipotezy przyszłości, ciążenie ku jakimś siłom zewnętrznym, nieświadome zresztą ani warunków, ani środków podobnego dążenia. Nie jest to żaden program. Jest w tem polityka niewiary, ubóstwa, rozterki. Mimo różnych zastrzeżeń podobieństwo z polityką galicyjskiej lewicy, a w szczególności stojałowszczyzny, wprost nieodparte.

Z nich wszystkich „nowych“ jeden Korfanty ma siłę, bo przedstawia rzecz bardzo silną i bardzo świeżą: ludowe odrodzenie na Śląsku i przez to samo wychodzi po za ciasny widnokrąg dwóch kolegów. Jak tę siłę wyzyska, przyszłość wskaże. Jeśli jednak na Śląsku już okazał słabość swoją w najnowszem paktowaniu z Napieralskim, czyż tutaj wobec starych i wytrawnych, politycznych krętaczy, wobec rozkładowych wpływów demagogicznych, wobec zasady solidarności — i „krakania, jak wrony kraczą,“ nie ugnie się i nie zbrudzi wszystkimi politycznymi kompromisami? Jemu najbliższy, Chrzanowski, przeszedł już tę drogę i zna wszystkie jej słodycze.

Ziemomysł.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na Dalekim Wschodzie przewidywania na najbliższą przyszłość nie są już tak jasne, jakby tego pragnęli przyjaciele pokoju *à tout prix* w Japonii i przedstawiciel ich londyński Hajaszy. Stan sprawy w artykule wstępnym.

D. 15 b. m zebrały się delegacye obu połów monarchii austro-węgierskiej w Wiedniu. Nazajutrz odbyła się ceremonia zagajenia. Cesarz odczytał mowę tronową do Węgrów, a w godzinę później też samą mowę do Przedlitawców. Oto jej treść:

Zgon Leona XIII porwał ze świata katolickiego postać wzniosłą. Położenie międzynarodowe monarchii jest pomyślne. Odnowienie trójprzymierza w roku przeszłym dało na przyszłość podstawę trwałą. Ścisłe porozumienie z Rosyą utrzymuje się bez zmiany. Zgodne działanie zmierza do pokoju i porządku na półwyspie. Oba mocarstwa bez samolubstwa w interesie całej Europy chcą na Turcyi wymódz to, czego koniecznie potrzebuje ludność chrześciańska, Bulgaryę zaś powstrzymać od dopomagania powstańcom.

Stosunki zagraniczne wzmocniły się przez porozumienie osobiste „z drogim sprzymierzeńcem,“ cesarzem niemieckim, z Cesarzem Rosyjskim i z królem angielskim. W Serbii „czyn zbrodniczy“ wywołał zmianę dynastyi. „Należy się spodziewać, że pod nowym monarchą kraj ten zdążać będzie do moralnego odrodzenia i pomyślniejszej przyszłości.“ W r. 1904 trzeba już rozpocząć odlewanie nowych dział. Marynarka potrzebuje nowych okrętów i nowych sił w ludziach. Żądania budżetowe uwzględniają obie te konieczności. Bośnię i Hercegowinę nawiedził głód, ale mimo to w roku przyszłym pokryją one swe potrzeby.

Tyle w orędziu tronowem. Uzupełnił je, jak zwykle, p. Gołuchowski swojem *exposé*. Podstawą polityki jest nietylko trwałe przymierze potrójne, ale i ścisłe porozumienie się z Rosyą. Trójprzymierze zmieniło swój charakter: nie krępuje już nikogo po za obrębem interesów wspólnych, dlatego Włochy zbliżyły się do Francyi, a Austrya do Rosyi. Samo trwanie stosunku z Rosyą przekonywa, że niema między obu mocarstwami ani nieprzyjaźni, ani nawet nieufności, a dobre porozumienie coraz bardziej się pogłębia. Austrya oparta o nie, dała poważną przestrogę Turcyi, której polityka ma charakter wręcz samobójczy. Przeprowadzenie reform w Macedonii zostaje w przyczynowym związku z samem istnieniem Turcyi. Czas już „porzucić wybiegi“ i zabrać się szczerze do wprowadzenia reform. Co do Serbii, zbrodnia czerwcowa kryła w sobie niebezpieczeństwo dla pokoju na Wschodzie. Zażegnano je przyzwoleniem na powołanie drugiej dynastyi narodowej. Na nowego króla spadł obowiązek podniesienia uroku Serbii. Austro-Węgry, spodziewając się dobrego rozwoju stosunków serbskich, będą jeszcze bardziej z niego zadowolone, jeśli to sąsiadujące z niemi królestwo wyrzeknie się swoich złudzeń i zdrożności, uzna wartość przyjaźni austryackiej i tolerować przestanie szerzoną ku monarchii nienawiść; w przeciwnym razie „musielibyśmy znacznie zredukować naszą dla Serbii życzliwość.“

Z dotychczasowych prac delegacyj wiadome jest tylko uchwalenie przez przedlitawską tymczasowego upoważnienia budżetowego na dwa miesiące.

Anglicy wtargnęli już do Tybetu. Władza pograniczna zaprotestowała, a po protestacyi uprzejmie powitała najeźdźców. Idą oni dopiero w straży przedniej; główna masa gotuje się do pochodu.

Niektóre agencye telegraficzne rozszerzają

---

na dzień, rano. Bardziej ludzcy dozorcy czuwali nad tem, aby przynajmniej na tę chwilę kafle w celce dobrze się rozgrzały, lecz trwało to krótko, na pół godziny najwyżej dawało znośną temperaturę, a potem, szczególniej pod wieczór zimno już było, jak w lodowni. Ubrany lekko, marzłem strasznie, w dolnych kończynach traciłem z zimna wszelkie czucie. Potem dowiedziałem się, że termometr wisiał w jednej z cel i istniał przepis, nakazujący utrzymywanie w nich stałej temperatury — lecz lekceważony przez urzędników, jak zwykle. W gorszem jeszcze położeniu znajdowała się celka karna. Opowiadano mi, że więzień, skazany na zamknięcie w ciemności, tak tam sobie nogę odmroził — spać tu muszą na gołej desce—że odtąd nazawsze kaleką został. Zimno celki zarówno szkodliwie na zdrowie oddziaływa, jak brak tłuszczu w pożywieniu więziennem; spowodował on u mnie zupełne wyniszczenie, skóra stała się chrapowatą, a paznokcie tak kruche, że nie mogłem ich obcinać scyzorykiem.

Żyłem w najzupełniejszem odosobnieniu. Całe otoczenie było mi obce. Zdawało się, że nigdy inaczej nie będzie. Aż jednego dnia otworzyły się drzwi celki i zobaczyłem ze zdumieniem wchodzącego człowieka. To był pastor — kapelan więzienny. Temu człowiekowi zawdzięczam więcej, niż komukolwiek z ludzi. On uzyskał dla mnie pozwolenie korzystania z biblioteki miejscowej, która też istnienie swoje, głównie jemu zawdzięczała.

Pożądliwość i skupienie, z jakiem się czyta w więzieniu nie dadzą się z niczem porównać. Człowiek syty, wolny, tonący w nadmiarze wrażeń, ani tak pamięta, co przeczytał, ani tak się nad tem zastanawia, jak wygłodzony samotnością, który duszę swoją zatapia w książce i chłonie ją w siebie.

Raz tylko na tydzień dają więźniom po jednej książce. Książki naukowe wolno niektórym dłuższy czas zatrzymywać. Klasycy są zabronieni — z rozporządzenia ministra. Czytać wolno tylko w południe i w niedzielę. Kiedy potem, zadaną mi robotę, nauczyłem się prędzej wykonywać, mogłem czytać i w innych godzinach.

Bibliotekarzem był więzień, morderca. Przypomniałem sobie, żem o nim słyszał. Kiedy mię oddawano do gimnazyum, przysięgli sądzili młodego, 20-letniego gospodarza wiejskiego, który zamordował przyjaciela swego księgarza, aby go ograbić. Morderstwo dokonane zostało w najgłupszy sposób — jak zwykle. Winny skazany był na karę śmierci. I jego to znalazłem w więzieniu, chorego wprawdzie, w charakterze bibliotekarza.

O tem wszystkiem dowiedziałem się jednak dopiero później, gdyż z początku trzymałem się zdala, zbyt jeszcze sobą zajęty. Moi sąsiedzi próbowali do mnie pukać, ale nie odpowiadałem im. Zauważyłem jednak, że pomimo zakazu porozumiewania się i z jego powodu właśnie, korzystano ze wszystkich możliwych sposobów komunikacyi. Służyły do tego rury pieców, wodociągów, jak telefony; przez wentylatory wieczorem, po zamknięciu trąbiono do siebie, wywołując różnego rodzaju kary za przekroczenie zakazu.

Z tego już jednego może czytelnik wnosić o reszcie systemu wychowawczego w całym zakładzie.

Dwa razy w tydzień prowadzono nas do kościoła. W nowszych więzieniach i tu strzegą się naruszenia samotności, wskutek czego wpuszczają więźniów do specyalnych jam, skąd oni, nie widząc siebie, tylko pastora i uzbrojonych dozorców zobaczyć mogą. To samo na przechadzce t. j. krążeniu dokoła podwórza, gdzie wyprowadzają więźnia raz, a jak w niektórych domach dwa razy na dzień na pół godziny, lub trzy kwandranse—w masce na twarzy.

* * *

wieści o rozporządzeniach Anglii, zmierzających do uruchomienia floty.

P. Combes wniósł w Izbie deputowanych projekt prawa, pozbawiającego zupełnie duchowieństwo zakonne nauczania tak niższego, jak średniego. Izba przekazała projekt komisyi oświaty. Przyjęcie pewne.

Cesarz Wilhelm zwolna odzyskuje zdrowie. Sejm po znamiennem starciu się Richtera z rządem i p. Bülowa z Richterem rozjechał się na święta. Cesarz wojskowy von Buguslawski woła wielkim głosem o zniesienie wyborów tajnych i głosowania powszechnego: to jedno tylko zdusi hydrę socyalizmu.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Piłka ludoznawcza.

Od stu lat mniej więcej gramy sobie w socyologiczną piłkę: ksiądz odrzuca ją obywatelowi ziemskiemu i lekarzowi, ci odrzucają księdzu lub wzajemnie sobie, a wszyscy demokracie miejskiemu, który ją znowu ku nim odbija. Tą piłką jest lud, o którego nieznajomość każdy oskarża innych. Gra ta ma swoją słuszną podstawę, gdyż z wyjątkiem bardzo nielicznych jednostek ogół, rozprawiających o ludzie, rzeczywiście nie zna ani jego duszy, ani nawet życia, co zresztą w społeczeństwie nawskróś szlacheckiem jest rzeczą zupełnie zrozumiałą. Takie zapewne przekonanie natchnęło p. Kozickiego do wystąpienia w *Kuryerze Warsz.* z artykułem p. t. „Nowe zagadnienia,“ w którym zawiadamia nas o „zasadniczym przełomie w prowadzeniu gospodarki przez włościan,“ o rozszerzeniu się ich widnokręgu umysłowego, o uświadomieniu ich dążeń, o „sięgnięciu do najgłębszych podstaw naszego życia społecznego.“ Wobec tej wielkiej zmiany autor wzywa nas, abyśmy ludowi „wykreślili plan rozwoju.“ Wątpimy wogóle, czy „wykreślenie planu rozwoju“ jakiejkolwiek gromadzie człowieczej, poruszanej mnóstwem sprężyn splątanych i w znacznej części dla najbystrzejszego oka niedostrzegalnych jest możliwe; ale gdyby nawet ta trudność dała się przezwyciężyć samym rozumem, to nie pod przewodnictwem takiego światełka, jakie nam rozpalił p. K. Bo jakąż drogę przy niem znaleźć można, jeśli nas uczy: „Włościanin *przestał* wytwarzać na swoje potrzeby jedynie, ale *musi spieniężać* produkty swoje na rynku ogólnym... *Niezależnie* od tego nastąpiło rozdrobnienie gospodarstw włościańskich. Na miejscu drobnych, ale *zdolnych wyżywić* swojego właściciela jednostek gospodarczych powstają drobne parcele, które dostatecznych środków utrzymania w *żaden sposób dostarczyć nie mogą.*“ Jakim cudem chłopi na działkach ziemi, które im „w żaden sposób nie mogą dostarczyć dostatecznych środków utrzymania,“ potrafili „przestać wytwarzać jedynie na swoje potrzeby i spieniężać produkty swoje na rynku ogólnym“ — jest to zagadka ekonomiczna, którą rozwiązać można tylko przypuszczeniem, że ci sztukmistrze jednocześnie „uniezależnili się“ od jedzenia i innych potrzeb. Jeśli tak nie jest, to chyba należy... odrzucić piłkę ludoznawczą do p. Kozickiego.

Reforma szpitalnictwa.

Z powodu wiadomości *Warsz. Dniewnika* o zamiarze zniesienia Rady dobroczynności publicznej i oddania wszystkich szpitali pod zarząd Magistratu, w Towarzystwie hygienicznem oświetlił tę sprawę dr. Dunin. W zasadzie przyklaskuje on temu projektowi, za którym już dawniej przemawiał, zaleca tylko, ażeby z pod opieki i zwierzchnictwa władz miejskich wyłączono szpitale prywatne, które posiadają dostateczne do utrzymania się fundusze własne. Te, według niego, „powinny rządzić się same, jedynie pod kontrolą urzędnika państwowego, który czuwać winien tylko nad tem, aby tam nie działo się nic przeciwnego prawu i porządkowi publicznemu.“ Całe rozumowanie dr. D. jest słuszne aż do punktu przejścia po za granicę interesu społecznego, przy której powinien się był zatrzymać i wkroczenia w dziedzinę mianowań urzędowych, która do niego, jako obywatela prywatnego, nie należy.

Gwiazdka dla służby tramwajowej.

Pod tym tytułem pomieścił niedawno sympatyczną wzmiankę *Goniec* warszawski: w kilkunastu wierszach poruszono myśl opatrzenia podarunkiem gwiazdkowym konduktorów i woźniców tramwajowych, pracujących bardzo ciężko a wynagradzanych stosunkowo licho.

Istotnie, ludziom tym, pełniącym uciążliwą pracę w warunkach niekorzystnych nietylko dla kieszeni, lecz co gorsza i dla zdrowia, co już w *Prawdzie* poruszyliśmy niejednokrotnie, choć dotąd bezskutecznie, należy się ze strony jeżdżącej publiczności jakieś namacalne uznanie ich usług i to mianowicie w porze gwiazdkowej i noworocznej, kiedy wszyscy starają się sobie los swój wzajemnie słodzić i bodaj kilka przelotnych chwil tego szarego życia opromienić.

Cel ten osiąga się podobno w Szwajcaryi przez umieszczenie w tygodniu przedświątecznym puszek we wszystkich wozach tramwajowych z odpowiednim napisem; ponieważ tydzień przedgwiazdkowy już minął, przeto nad puszkami obecnie zamiast napisu „Na kolędę“, należałoby umieścić napis: „Na podarek noworoczny.“ Puszki takie nie kosztowałyby wiele, zarząd tramwajów miałby ten tylko niewielki wydatek do poniesienia, reszta bowiem należałaby już do szerokiej publiczności, która kopiejkowymi datkami mogłaby w całości uczynić zadość potrzebie dania dowodu swego uznania i swej sympatyi tym, z których usług przez cały rok nieustannie korzysta.

Przekonani jesteśmy, że głos nasz dojdzie jeszcze na czas tam, gdzie potrzeba i przyczyni się do rozweselenia niejednego ogniska domowego, do którego może rzadko tylko dochodzi jaśniejszy promień słońca.

Nieprzygotowani.

Społeczeństwo nasze jest tak dalece nieprzygotowane do jakiegokolwiek, nieco silniejszego odchylenia od normalnego przebiegu spraw codziennych, że gdy zajdzie jakaś okoliczność, zakłócająca tak zwany porządek naszego życia, bezradność występuje w całej pełni i nagości, do jakiej tylko jesteśmy zdolni.

Oto obecnie wskutek powodzi i nieurodzaju, panuje w Warszawie niesłychana drożyzna najniezbędniejszych artykułów spożywczych. Gdyby systematyczna ich dostawa była racyonalnie zorganizowana, to wobec niezbitego faktu, że ani powodzie, ani nieurodzaje nie wystąpiły na całym obszarze Europy, a nawet państwa rosyjskiego, nie ulega wątpliwości, że nie znalelibyśmy się nagle wobec konieczności przepłacania

---

Mało kto wie, że w Niemczech, a przedewszystkiem w Prusach, istnieje dla dorosłych kara chłosty, knuta. Wzniosłe prawo stosowania tego środka sprawiedliwości spoczywa w rękach dyrektorów i oficyalistów domu poprawczego oraz urzędników królewskich. Jedni mogą skazywać na 30, drudzy na 60 uderzeń knuta.

O tym sposobie utrzymania karności, który do roku przeszłego bynajmniej nierzadko był stosowany, dowiedziałem się z ust konserwatysty Stroszera, który był w Munster dyrektorem więzienia poprawczego i z dumą opowiadał, jak on niekarnego więźnia, który dozorców bił, uciekał, a złapany przechwalał się, że znowu ucieknie, biciem, co wlazło, do zupełnej uległości przyprowadził.

Co to jest kara cielesna najlepiej świadczą słowa radcy Krone:

„Jako pozostałość barbarzyńskiej dzikości używają jeszcze niektórych kar dyscyplinarnych, przynoszących uszkodzenia cielesne i inne najstraszliwsze skutki. Z tych najgorszemi są: areszt klinkowy i chłosta. Pierwszy polega na tem, że podłoga celki, do której więzień jest wprowadzony ułożona bywa z trójkątnych deseczek ostrzem do góry zwróconych (w Saksonii i ściany także). Więzień na tę karę skazany jest tylko w bieliźnie i w skarpetkach. Nie może długo ani stać, ani leżeć, ani siedzieć na jednem miejscu, ciało jego pokrywają sińce i pręgi. Co do drugiej — przywiązują skazanego za ręce i nogi do kozła, tył obnażają i kijem, bykowcem, dyscypliną lub rózgą wymierzają mu tyle razów w odsłoniętą część ciała, ile było przeznaczone—od 25 do 60. (25 w Meklemburgu i Oldenburgu, 30 w Saksonii, 60 w Prusach). Grubość narzędzia karcącego nie jest wszędzie przepisana. W Prusach zazwyczaj dyscyplina składa się z kilku skórzanych, 100 centymetrowej długości pasków, przytwierdzonych do krótkiej, 50-centymetrowej rączki; grubość paska różna jest przy nasadzie i u końca—najsłabsze egzemplarze mierzą 5 centymetrów u góry a 3 na końcu. Podczas operacyi, za piątem uderzeniem takiej dyscypliny lub kija, pęka skóra i następne razy padają już na krwawiące ciało, które wprędce zamienia się w jedną papkę. Jeśli uderzenie takiego narzędzia padnie na krzyż, może uszkodzić kręgosłup.“

Według statystyki urzędniczej między rokiem 1894 a 1896 skazanych na chłostę było 281, na areszt klinkowy w tym samym przeciągu czasu 176; ten ostatni stosowany był także i w więzieniach dla kobiet! Radca Krone potępia chłostę, jako bezcelowe znęcanie się. „Słaby, lękliwy delikwent będzie krzyczał, ryczał, na stołku wił się i wyciągał; silniejszy, z mocną wolą, zetnie zęby, w milczeniu ból zniesie lub zaklnie i odejdzie, bardziej jeszcze nieposkromiony, przez współtowarzyszów uważany za bohatera, utraciwszy do reszty poczucie godności, z większą jeszcze nienawiścią w duszy. A teraz, jaki wpływ taka operacya wywiera na jej wykonawców? Czyż nie widzimy, że prawie zawsze popadają oni w pijaństwo.“

Nagrodą za spełnienie takiej egzekucyi jest pół dnia zwolnienia od służby; zwierzę które w człowieku się tai, znajduje w n i e możność zadowolenia swego instynktu. A z ofiarami tej surowości co się dzieje? M — ciągle był skazywany na karę zamknięcia, dwa razy w ciągu trzech lat podlegał chłoście, gdyż lekarz utrzymywał, że jego choroba umysłowa była udawaniem— w końcu gdy go dręczyć nie przestawano — powiesił się. Inny był chory, od czterech dni nic jeść nie mógł, lekarz w chorobę nie wierzył — udawanie, a więc zamknięcie w ciemnicy i chłosta. Po kilku dniach więzień umarł, a obdukcya pośmiertna wykazała zupełne stoczenie wątroby przez raka.

za najniezbędniejsze przedmioty spożywcze lub obywania się bez nich zupełnie. Nasza nieoględność na tym punkcie grozi nam zawsze niebezpieczeństwem, które w miarę wzrostu miasta i pogarszania się warunków bytu ekonomicznego będzie też proporcyonalnie coraz ostrzejsze.

Zaledwie zima się rozpoczęła, a już oto Pogotowie zbiera po ulicach ludzi omdlewających z głodu, lub odbierających sobie życie z nędzy i niedostatku. Wina za to spada na całe nasze społeczeństwo, zwłaszcza na jego warstwy możne i wpływowe, które zasklepione w sobkostwie nie troszczą się wcale o to, jak innym się dzieje. Strach pomyśleć, co będzie, gdy wskutek mrozów ustaną roboty mularskie i całe zastępy, dzisiaj jeszcze zarabiające normalnie, znajdą się na bruku bez środków do utrzymania! Wszak drożyzna jest jak na nasze stosunki wprost niesłychana: mięso, nabiał, nafta, opał — słowem wszystko trzeba przepłacać, a zarobki nie podniosły się w tym samym stosunku.

Najtańszy i najulubieńszy pokarm ziemniaki w tym roku także zawiodły, cóż więc ma jeść nasza tak liczna bieda wiejska i miejska? Ktoś dobrze obeznany ze sprawą proponuje makaron, kaszę jaglaną, jęczmienną, mamałygę czyli lemieszkę z mąki kukurydzanej, wreszcie odtłuszczone mleko, którego podobno nie brak w gospodarstwach nabiałowych w okolicach Warszawy; wszystko to razem z okrawkami i inną okrasą dałoby obiad za 30 kop. kwotę przeciętną, jaką wydać może ubogi mieszkaniec Warszawy na utrzymanie dzienne.

Należałoby koniecznie zorganizować systematyczną dostawę tych wszystkich artykułów, ale nim ktoś się tem zajmie—głód swoje robić będzie. Przed kilku laty czynną była instytucya obiadów bezpłatnych—jak przypomina *Kur. Warsz.* — dlaczego nie pomyślano o jej wskrzeszeniu, teraz kiedy byłaby tak potrzebną? Gdy klęska dotknie kraj, państwo zazwyczaj bierze na siebie część działalności ratunkowej, rozpoczynając cały szereg robót publicznych, dających zarobek licznej rzeszy rąk; lecz i ludzie prywatni, mianowicie ci, których nieszczęście ogólne mniej dotknęło, mogliby wziąć udział w niesieniu pomocy, zaopatrując się teraz właśnie w takie przedmioty, które im są potrzebne, a których nabycie niesłusznie odkładają. Ograniczać się mają prawo ci tylko, którzy istotnie kurczyć się muszą. Możni niech rozluźnią swoje sakiewki — niech dadzą pracę i zarobek potrzebującym. Naturalnie, nie zachęcamy do zbytku — wskazujemy tylko obowiązek obywatelski niesienia pomocy w sposób szlachetny i jedynie ludzki.



ZE SZTUKI.

Wystawy pastelów i akwareli Warsz. Tow. Artystycznego w Salonie Krywulta. — Akwaforty Edwarda Muncha.

Pastel i akwarela są w pojęciu większości podrzędniejszymi odłamami Sztuki, na której czele ma kroczyć malarstwo olejne. Tak jednak nie jest. Do dobrego wykonania pastelu potrzeba takiej samej dozy talentu i wiedzy malarskiej, co i do obrazu olejnego, tylko technika jest odmienna. Pastel jest to obraz wykonany za pomocą bardzo miękich kredek różnokolorowych. Gdy w malarstwie olejnem wystarcza posiadanie na palecie kilkunastu, a nawet kilku barw, z których artysta otrzymuje wszelkie kombinacye, pastelista musi posługiwać się przeważnie tonami gotowymi. Przez to komplet kredek pastelowych złożony z 300 sztuk jest ledwie wystarczającym, a fabryki pastelów produkują z górą tysiąc różnych barw, odcieni i tonów, przyczem wyroby każdej odróżniają się od innych. Dawanie sobie rady z taką ilością jest jednak tylko kwestyą wprawy i nie powiększa trudności technicznych, jakby się to zdawało na pozór.

Technika pastelowa ma swoje dobre i złe strony. Trwałość przy zachowaniu pewnych warunków jest nawet większa, niż olejnej.

Wiecie państwo, co jest największym wrogiem malarstwa olejnego?

— Olej!

On, wraz z różnymi werniksami, pomadami itp., używanymi wyłącznie w malarstwie olejnem, jest głównym czynnikiem czernienia, pękania i kruszenia się starych malowideł. W farbach pastelowych oleju niema, więc trwałość ich świetności jest daleko większa, ale tylko gdy są zabezpieczone od kurzu, wilgoci i wstrząśnień, miał bowiem pastelowy łatwo się strzepuje i osypuje. Ta konieczność szyby i niebezpieczeństwo transportu uniemożliwia stosowanie techniki pastelowej do wielkich obrazów. Drobne, miniaturowe wykończenie pracy też jest niemożliwe. Dlatego pastel jest przedewszystkiem wybornym środkiem do portretów kobiecych i dziecinnych, bo rozporządza świetną gamą tonów, wybornie nadających się do karnacyi delikatnego ciała, bogatych strojów itp.

Malarstwo akwarelowe znajduje się w zupełnie odmiennych warunkach. Konieczność umieszczenia pod szybą i trudność osiągnięcia dużej siły kontrastowej w barwach stawia również pewną granicę powiększenia rozmiaru. Trudności jednak techniczne są zupełnie innego rodzaju. Wprawdzie wszystkie dzieci rozpoczynają swe usiłowania artystyczne od akwareli czyli farb wodnych, wypływa to jednak tylko z taniości pośledniejszych gatunków i pozornej łatwości ich zastosowania. W malarstwie artystycznem technika akwarelowa jeży się wyjątkowemi trudnościami. Raz położony ton jest prawie nie do usunięcia. Nowe warstwy farby nie zasłaniają poprzednich, jak to ma miejsce w malarstwie olejnem, więc wszelka poprawka jest trudna, a często niemożliwa. Cała barwność i świeżość pracy polega na wielkiej wprawie i pewności technicznej artysty, poprawki i przemalowania zmieniają akwarelę w brudną ścierkę. Każde dobranie farby, każde nawet pojedyncze dotknięcie pędzla decyduje o losie rozpoczętej pracy. Techniczne więc wirtuozostwo ma tu bardzo szerokie pole do popisu, a malarstwo akwarelowe bardzo wysoko było zawsze cenione za granicą, w szczególności w Anglii.

Technika akwarelowa dałaby się porównać do skrzypiec. Używa ich zarówno grajek podwórzowy, jak i pierwszorzędni wirtuozi, którzy je uważają za najwdzięczniejszy i najbardziej popisowy instrument. Rozwijając te analogie, trzebaby malarstwo olejne porównać z grą orkiestrową, a pastelowe z wiolonczelą. Jak z tej ostatniej płyną tony śpiewne, słodkie, lecz niedające się użyć do wszystkich tematów muzycznych, tak i pastel ma pole popisu wspaniałe, ale ograniczone warunkami technicznymi.

Dodać musimy, że o ile pastel nie może być ani zbyt wielki, ani zbyt mały i drobiazgowy, o tyle akwarela nie zna prawie granic w tym drugim kierunku, czego wspaniałym dowodem są miniatury malowane zwykle na kości słoniowej farbami wodnemi i wykonywane tak subtelnie, że artysta robi je ciągle przez lupę, a widz również musi je tak oglądać, jeśli chce ocenić wirtuozostwo techniki. Dziś sztuka malowania miniatur, tak poszukiwanych w XVIII w., jest w upadku, gdyż wynalazek fotografii zupełnie zadawala potrzeby szerokiego ogółu, a nawet warstw o guście subtelniejszym. Doszło do tego, że dziś mało kto wie dobrze, co to jest miniatura i plącze ją często z heliominiaturą.

Musimy więc przy tej sposobności wyjaśnić, że gdy miniatura jest pracą ręczną, bardzo delikatną, trudną i bardzo artystyczną, a więc i kosztowną, to heliominiatura jest pewnym sposobem *prawie mechanicznego* kolorowania fotografii, który każdy nie będąc artystą, może poznać i stosować w ciągu kilku lekcyj.

Stąd też maleńka miniatura równa się w cenie z dużym portretem olejnym, gdy dobrze wykonaną heliominiaturę można mieć za parę rubli. Jest więc tylko prostem przywłaszczeniem nazwy, której podobieństwo brzmienia wprowadza w błąd niedoświadczonych.

Ludzie nawet ogólnie wykształceni nie wiedzą często, co to jest właściwie pastel, a co akwarela lub miniatura, więc sądzę, że powyższe uwagi nie dla jednego z czytelników mogą być użyteczne.

Nietylko wyjaśniają one różnice zasadnicze, ale i doniosłe znaczenie kilku działów sztuki, dziś trochę lekceważonych i nierozumianych.

Trzeba więc uznać niezawodną zasługę Warsz. Tow. Artystycznego, że za pomocą sporadycznych wystaw pracuje nad pobudzeniem twórczości naszych artystów w różnych kierunkach i zwraca na nie uwagę publiczności. Tylko takie specyalne wystawy mogą cel osiągnąć.

Dowodem wielkiego zaniedbania na polu malarstwa miniaturowego jest to, że ani jednej miniatury nie spotykamy na wystawie. Akwarele są dość liczne, ale główną liczbę prac stanowią obrazy pastelowe, w szczególności portrety lub studya figuralne.

Wyróżniająco między akwarelami przedstawiają się prace Kazimierza Mordasewicza, dosknały jest w traktowaniu starzec piszący „List" i dwa krajobrazy morskie — „Łódki" i „Cisza". „Wnętrze" pokoju Stefana Popowskiego dobrze jest wystudyowane, a Zajchowskiego z życiem skomponowane „Krakowskie wesele," naśladuje Juliusza Kossaka.

Z kompozycyj pastelowych widzimy dobrą „Po burzy" Mączyńskiego, kilka „Nastrojów" Kaufmana i rzucające się w oczy swą odrębnością pomysłów kompozycye Stanisława Pichora. W dziale krajobrazowym spotykamy doskonały „Obłok" Galimskiego. Cały szereg artystów nadesłał portrety lub studya głów pastelowych. Mamy tu Teodora Axentowicza, Ostojewskiego Mirosława, Bronisława Wiśniewskiego, Melanię Muttermilchową, Wasilkowską, Ostrowską, Wiśniewską, Biernacką, Mireckiego i wielu innych. Kazimierz Mordasewicz dał kilka portrecików rysowanych z finezyą i lekko podbarwionych.

Po za wystawą pastelowo-akwarelową spotykamy w sąsiedniej sali kilka płócien olejnych Żmurki i Józefa Menciny - Krzesza, a z rzeźby cały szereg wyróżniających się podobieństwem portretów płaskorzeźbowych Czesława Makowskiego i dwa biusty w terrakocie Adama Petryny. Są to prace zdradzające talent i zdolności obserwacyjne w młodym artyście.

Na zakończenie — salka z akwafortami Norwega, Muncha. Dobrze zrobił salon p. Krywulta, że wystawił szereg prac artysty, o którym ci i owi odzywają się u nas entuzyastycznie, źle jednak zrobiłaby publiczność, gdyby chciała podług tych prac wyrobić sobie pojęcie o akwafortcie wogóle i jeśliby się zniechęciła do tego działu sztuki. Prace te również nie dają żadnego pojęcia o kierunku zwanym symbolizmem, a co gorsza, dają je niepochlebne.

Jeśli nazwisko jakiegoś artysty zostało okrzyczane i roztrąbione przez zwolenników, to koło jego pracy nie przechodzi się obojętnie. Jedni stawiają mu z góry cenzus bardzo wysoki, a zawiódłszy się, tem ostrzej krytykują dzieło, inni zaś szukają uporczywie choć cienia usprawiedliwienia dla hymnów, jakie słyszeli o tych nadzwyczajnościach.

Gdyby to nie były akwaforty, ale ręczne rysuneczki na skrawkach papieru, lub marginesach kajetów, to byśmy powiedzieli, że z małym wyjątkiem nie było po co urządzać z nich wystawy. Skoro jednak to są akwaforty, a zatem prace obmyślone do reprodukcyj w liczniejszych egzemplarzach, przeto tem surowszą miarę trzeba zastosować w ocenie.

Munch jakby się starał dowieść swemi pracami, że nie ma pojęcia o tem, co się nazywa znajomością techniki, zadań i celów akwaforty. Używa tego środka równie dobrze, a właściwie mówiąc, równie źle, jakby używał np. kredy lub węgla na murze, albo końca laski na piasku. Gdzie się „zapomniał“, gdzie nie pozuje przed publicznością i nie rzuca bezładnie linij i form bez znaczenia i jakiejkolwiek dającej się usprawiedliwić racyi, tam okazuje się, że Munch może formę obserwować i pewne cechy charakterystyczne wyrazić, np. w „Nocy księżycowej,“ w „Pocałunku“, w głowie „Chorej dziewczynki“ odbitej w dwóch kolorach itd.

Ale te prace nie mogą mu dać tytułu nadzwyczajności, ani jako twórcy w ogólności, ani jako akwaforciście. Tę sławę w pewnych sferach dały mu właśnie owe bezładne reminiscencye, niedołężne lub dziwaczne, ale niemające w sobie pierwiastku prawdziwie twórczego, ani oryginalnego tak w pracach wystawionych u Krywulta, jak i w obrazach olejnych, błąkających się po różnych wystawach Europy. Śród pierwszych trzyma palmę wyższości „Przemiana materyi,“ „Życie i śmierć,“ „Śmierć i dziecko“ itd.

C'est „rigolo“!

Ale nic więcej. *Sierp.*

NOWE KSIĄŻKI.

— Dr. Józef Nusbaum: **Szlakami wiedzy.** Odczyty dla wykształconego ogółu o zagadnieniach biologii współczesnej (Lwów, nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego). Duży, bardzo starannie wydany tom o 334 stronach druku i licznych ilustracyach, zawiera 21 różnej treści odczytów, wypowiedzianych przez autora różnymi czasy, a obecnie zebranych w jedną całość. Dr. Nusbaum roztrząsa w nich najważniejsze i najbardziej zajmujące zagadnienia biologiczne, stojąc na gruncie najnowszych badań, hipotez i odkryć, które poddaje spokojnej, rozważnej, naukowej krytyce. Autor posiada rzadki dar popularyzatorski; wszystkie, najbardziej zawiłe kwestye wychodzą z pod jego pióra jasno i przystępnie dla tych, którzy posiadają na zasadzie średniego wykształcenia pewne przygotowanie do tego rodzaju czytania.

— **Kalendarze:** „Ilustrowany Józefa Ungra“ na r. 1904.

„Lubelski“ na r. 1904, nakład i druk A. Kossakowskiej.

„Informacyjny Płocki“ na r. 1904, wydany staraniem komitetu opieki nad choremi dziećmi w Płocku.

„Strzecha Rodzinna,“ wyd. E. Koliński.

„Na Pogotowie ratunkowe — Informacyjno-Encyklopedyczny“ na r. 1904, wydany nakł. Doraźnej pomocy lekarskiej w Warszawie.



Stan obecny kwestyi rolnej.

III.

Kwestya konkurencyi.

W dyskusyi nad wspomnianym już odczytem, mianym w Wiedniu, Dawidowi wyrwało się wyznanie, dość sprzeczne z całą jego tendencyą, że „wielka gospodarka posiada bądź co bądź wyższość techniczną, choć szczupłą, w porównaniu z gospodarką drobną“ *). W prawdzie David dodaje, że ta wyższość najprędzej jeszcze ujawnia się przy ekstensywnym trybie uprawy, a zmniejsza przy uprawie intensywnej; ale sądzę, że zastrzeżenie to wynika w części z dwuznaczności wyrażeń „ekstensywny“ i „intensywny,“ odsłoniętej przez nas już przy końcu poprzedniego artykułu — należałoby zamiast „uprawa ekstensywna,“ powiedzieć tu: uprawa plonów mniej cennych, czyli, poprostu, zbóż — w części zaś z wprowadzenia już do rozważań technicznych— czynnika społeczno-ustrojowego. My dotychczas staraliśmy się rozważać zagadnienie techniczne w jego czystości, i w rezultacie stawiamy wniosek, dalej idący od Davidowego, a mianowicie, że uprawa na wielkiej przestrzeni (do pewnych granic) ma, pomimo wszelkich przeszkód, wynikających z charakteru rolnictwa, znaczną wyższość techniczno-produkcyjną nad uprawą na mniejszej przestrzeni. Ale przechodząc teraz do rozpatrzenia wyższości konkurencyjnej i oporności wielkiej i drobnej własności *w teraźniejszym ustroju społecznym,* odrazu zaznaczamy, że wyższości technicznej przeciwstawia się tu cały szereg innych czynników, często ją przeważających lub wprost— niedających jej niejako przyjść do słowa.

W dziedzinie przemysłowej wyższość techniczna, właściwa niezaprzeczenie większym przedsiebiorstwom, jest zarazem, jeśli pominiemy pewne czynniki nienormalne, opóźniające, jak np. cło ochronne lub inne prawa krępujące, rękojmią niechybnego zwycięztwa tych przedsiebiorstw nad mniejszemi, zwycięztwa, które wyraża się w ich koncentracyi, czyli zaniku mniejszych a wzroście większych. W rolnictwie dążności podobnej opiera się szereg przeszkód, które znów wynikają w części z naturalnych jego właściwości, jako gałęzi wytwórczości, w części — z przyczyn względnych, społeczno-ustrojowych.

Jedna z tych przeszkód tkwi w wykazanej już poprzednio tożsamości materyału surowego w rolnictwie z samem miejscem pracy, z czego wynika nieprzenośność kapitału. Gdy drobny warsztat lub fabryczka bankrutuje, to, oczywiście, wielka część włożonego w nią kapitału poprostu ginie, ale cokolwiek może przecież być uratowane i przeniesione gdzieindziej: tak, nieprzerobiony materyał, część maszyn, narzędzi itp.; zresztą, może ona być poprostu zamknięta, usunięta z powierzchni ziemi, robiąc wolne miejsce dla wielkiego współzawodnika. Inaczej z drobnem gospodarstwem rolnem. Gdy właściciel jego bankrutuje, conajwyżej może je opuścić; ziemia zostaje gotowa do uprawy—ale w tych samych granicach przestrzennych, bo przecież dla gospodarstwa sąsiedniego niema musu bankrutować koniecznie w tej samej chwili. Z drugiej strony, gospodarstwo większe, zwyciężając w konkurencyi i pragnąc się rozszerać, może to uskutecznić (zawsze przy jednakowym stopniu intensywności i jednakowych przedmiotach uprawy i hodowli) tylko terytoryalnie, przez przyłączenie nowych gruntów. Tymczasem otaczają je najczęściej majątki, które nie są na sprzedaż (albo za drogo), a te, co są, leżą gdzieś dalej rozproszone. Wiele drobnych posiadłości wystawia się wciąż na sprzedaż przymusową — ale wszystkie muszą być sprzedane w tych samych granicach: nieskoncentrowane, albo jeszcze rozdrobnione!

Druga przeszkoda, niedopuszczająca tu działania praw konkurencyi, tkwi *w naturze produktu*, w jego właściwościach *spożywczych,* albo ściślej, jeśli chcecie — organicznych. David i na tym punkcie widzi objaw ogólnej różnicy zasadniczej między produkcyą organiczną a mechaniczną. Z lubością podkreśla, że „gospodarstwo wiejskie jest *kosmosem* istot żyjących, ogarniającym i *substancyalne* życie człowieka samego“ (!), to znaczy, prostemi słowy, że człowiek to, co zje, oddaje znów na pożytek uprawy. David wogóle tyle mówi, nawet zupełnie zbytecznych rzeczy, o tym przedmiocie, tak się niedyskretnie zachwyca zwyczajami Chińczyków, u których do praw dobrego wychowania należy w domu, w którym się coś zjadło, pozostawić i organiczny tego równoważnik, że ma się czasem wrażenie, jakby temu chłopomanowi pachło fiołkami to, co on nazywa „duszą rolnictwa.“ Zdaniem naszem jednak znaczenie owego „kosmosu“ w rolnictwie jest zupełnie inne. Nie na tem polega rzekoma wyższość dobrego gospodarza w konkurencyi, że „spożywając — wytwarza,“ tylko jego oporność na konkurencyę stąd wynika, że spożywa on sam to, co wytwarza. Rzemieślnik, czy chce, czy nie chce, *musi* stanąć do konkurencyi, do której go wielki fabrykant wyzywa, ponieważ z wytworami swymi nic począć nie może, jeśli ich nie sprzeda, ponieważ do spożycia własnego dojść może tylko drogą przez rynek. Wieśniak, szczególniej małorolny, wcale nie potrzebuje stawać do walki z wielkiem gospodarstwem: wszak on często wcale nie sprzedaje swych produktów! A jeśli je sprzedaje, to sprzedaż ta ma dla niego inne znaczenie gospodarcze, niż dla właściciela większego majątku. U wieśniaka, nawet posiadającego nieco większe gospodarstwo, jeśli tylko produkuje zboże, ziemniaki i mięso, a nie wyłącznie np. wino lub delikatesy, bardzo rzadko znajdziemy gospodarstwo oparte na podstawach całkowicie pieniężnych, zmuszające wyłącznie do otrzymania pieniędzy za produkt. Sprzedaż produktów ma dla niego znaczenie dopełniające, zaspakaja nie potrzeby najpierwsze, lecz raczej dodatkowe; pieniędzy potrzeba mu nie na chleb i nie na opłacenie najemnika, maszyny lub sztucznego nawozu, lecz najbardziej na podatek często na procent lichwiarski (chociaż i ten bywa nieraz wypłacany w naturze lub robociznie), a po za tem — na ubranie i potrzeby jeszcze mniej pilne, jeszcze bardziej dające się ścisnąć. Z tego wynika, że włościanin może poprzestawać na niższej cenie za swój towar, niż obywatel lub dzierżawca większy, którym sprzedaż, i jedynie sprzedaż wytworów, musi dostarczyć nietylko środków na prowadzenie dalej gospodarstwa, na robotnika, nasiona, nawozy, maszyny, konieczne melioracye, ale i na oprocentowanie włożonego (lub pożyczonego) kapitału, na uiszczenie (innemu lub sobie) renty. Od upadku cen w przemyśle, wywołanego postępami techniki, wielkie przedsiebiorstwa bronią się (o ile nie zapobiegają mu zapomocą karteli) powiększeniem produkcyi, nowemi ulepszeniami technicznemi; drobne, pozbawione kapitału, są bezbronne i upadają w konkurencyi — jakkolwiek i tu zdarza się, że najdrobniejsze, obliczone na blizkie kółko

*) Dwie rozprawki, tłom. Gumplowicza, str. 117.

klientów, trzymają się nadludzką pracą rzemieślnika, groszową oszczędnością, wyzyskiem dzieci. Wielkie przedsiębiorstwo rolnicze nie może przy spadku cen wyrównać zmniejszenia zysków zapomocą pomnożenia wytworu (przy proporcyonalnie tym samym, albo mniejszym, nakładzie), bo temu stoją na przeszkodzie granice gruntu oraz określony kołobieg życia rośliny; natomiast drobny gospodarz dla obrony potrzebuje tylko — bardziej skurczyć swe potrzeby i powiększyć wysiłki pracy — co też czyni. Dla niego ziemia nie jest źródłem procentów ani renty, lecz wyłącznie warsztatem pracy, dostarczającym w znacznej części przedmiotów bezpośredniego spożycia.

Tem przedewszystkiem tłomaczą się postępy parcelacyi— tembardziej, że nie spotyka ona żadnej naturalnej przeszkody, bo jeśli jest ogromnie trudno połączyć kilkadziesiąt małych przedsiebiorstw w jedno wielkie, to odwrotna czynność przychodzi z największą łatwością.

David i jego zwolennicy w parcelacyi, w powiększaniu się drobnych przedsiebiorstw wogóle widzą dowód zwycięzkiej konkurencyi drobnej uprawy z wielką, a tem samem — wyższość pierwszej nad drugą. Wyższość tę opierają oni w gruncie rzeczy na jednym czynniku: na tym fakcie, że chłop pracuje na swojem, a więc pracuje, jako właściciel, z całą starannością i troskliwością, gdy tymczasem większy właściciel posługiwać się musi pracą najemników, a więc pracą niechętną, niezgrabną, marnotrawną. Wszystkie czynniki, tkwiące w samej naturze produkcyi rolnej, które rozważaliśmy w poprzednim rozdziale, uprawniają, sądzę, i samego Davida conajwyżej do wniosku, że wielka uprawa nie jest wyższa od drobnej; przejść do twierdzenia o jej *niższości* może on jedynie dzięki wprowadzeniu tego czynnika społecznego: interesowanego, drobnego właściciela, i obojętnego najmity. Coprawda, David nie odróżnia, tak jak my, tego czynnika społecznego od technicznych; przeciwnie, miesza je nieustannie; prawda, że są one pomieszane w dzisiejszej rzeczywistości, ale David nie przedstawia sobie widocznie, żeby mogło być inaczej, bo ilekroć zdarzy mu się z musu mówić o ciemnocie i niezaradności chłopa, to pociesza się, że to przecież rzeczy przejściowe, które będą naprawione, ale złe strony wielkiej uprawy, wynikające z najemnictwa, są zawsze przedstawiane jako absolutne! Pieczołowitość drobnego właściciela ma mu zapewniać szczególnie znaczną wyższość przy hodowli zwierząt oraz przy uprawie roślin cennych, jarzyn, delikatesów. Otóż, dalecy jesteśmy od zaprzeczania ważności tego czynnika; istotnie, w teraźniejszem społeczeństwie powiększa on znacznie i komplikuje wszystkie naturalno-techniczne przeszkody, hamujące w rolnictwie działanie kooperacyi, podziału pracy i maszyneryi na korzyść wielkiej uprawy; wykazuje to nietylko David, ale i Krzywicki; między innemi, wprowadzenie niejednej maszyny rolniczej w Europie rozbija się o niedbałość i niezgrabność robotnika wiejskiego. Pomimo to jednak zdaje nam się, że nawet ten czynnik nie przechyliłby szali na stronę gospodarstwa drobnego, że pomimo jego działania wielkie przedsiebiorstwa rolne niechybnie zwyciężyłyby w konkurencyi — *gdyby między wielkiemi a małemi toczyła się istotnie walka konkurencyjna*, gdyby wielkie mogły użyć swobodnie swego naturalnego oręża — większych kapitałów, nauki, techniki. Ale nie mogą; a nie mogą dlatego, że dziś nie toczy się walka między wielkim a drobnym gospodarzem w jednym, danym kraju, ani nawet w Europie, tylko między całem rolnictwem starych krajów europejskich a rolnictwem krajów dziewiczych. W tej walce większa własność ziemska w Europie ponosi klęskę po klęsce, które jej wytrącają wszelką prawie broń z ręki.

Wprawdzie błędem jest chyba, jak to robi David, całą wyższość rolnictwa zamorskiego kłaść na karb jedynie tamtejszych dziewiczych gruntów; gdyby nie maszyny, nie brak odwiecznych miedz, umożliwiający gospodarkę na wielkich przestrzeniach, gdyby nie olbrzymia organizacya handlowa i nie nerw tego wszystkiego — kapitały, z pewnością rolnicy europejscy patrzyliby na Amerykę spokojniej. Ale z wyższością techniczną możnaby próbować rywalizować; ze skarbami, przez wieki nagromadzonymi w dziewiczej ziemi, „którą dość połechtać pługiem, aby uśmiechnęła się plonem“ — współzawodnictwa niema. Z wielką biedą umożliwiają je dopiero wciąż podnoszone cła; ale te, o ile osiągają swój cel, mają znowu, nawiasem mówiąc, to następstwo, że wszystko zboże, wyprodukowane w kraju czy kosztowniej, czy taniej, czy z większym, czy z mniejszym nakładem pracy, ma zapewniony zbyt, czyli że konkurencya między różnemi kategoryami gospodarstw jest znowu wykluczona. Żeby zrównać się naprawdę z dziewiczymi obszarami, do których przybywają i przybywać będą coraz nowe, na to trzebaby chyba — poprostu przez lat kilkadziesiąt pozostawić wyczerpane grunta europejskie odłogiem; a to mógłby może zrobić jakiś międzynarodowy zarząd produkcyi, albo choćby narodowy, ale połączony traktatami ekonomicznymi z tamtymi krajami i otrzymujący od nich zboże w zamian za wytwory przemysłowe; dzisiejsi prywatni gospodarze robić tego nie mogą, chyba że ich — jak np. w Austryi — spadek cen poprostu ze wsi wypędza. Konkurencya zamorska działa na rolnictwo europejskie tak, jak na pewną gałąź przemysłu działałoby odkrycie sposobu nieskończenie lepszego wyzyskania materyału surowego, zmonopolizowane przez kilka wielkich fabryk. Wtedy najprawdopodobniej największe z pozostałych fabryk oraz najmniejsze, warsztaciki, o ile istnienie takich jest w danej gałęzi wogóle możliwe, będą opierały się stosunkowo najdłużej: pierwsze, ratując swą wielką wartość, wkładać będą nowe kapitały, szukając ulepszeń technicznych, drugie — mają do ratowania tylko życie fizyczne właściciela, i ratują je przez obcinanie potrzeb. Średnie ucierpią najwięcej. Podobnie rzecz się ma i w rolnictwie.

Mamy tu zatem do czynienia nie z konkurencyą między wielkiem a drobnem gospodarstwem, tylko z kwestyą: jak każde z nich znosi przygniatającą konkurencyę zamorską? Otóż, naogół biorąc, większa własność znosi ją i musi znosić — źle. Wprawdzie dotychczas, tj. do zjawienia się tej konkurencyi, więksi właściciele byli pieszczochami losu, wskutek czego wobec ciężkich czasów objawiają niesłychaną niezaradność, powiększaną jeszcze przez wszystkie „Liebesgaben“ państwa; w prawdzie większa zaradność pozwoliłaby, jak niektórym faktycznie pozwala, na pewne przystosowanie się do nowych warunków zapomocą zmian przedmiotów uprawy i hodowli oraz połączenia z gospodarstwem przedsiębiorstw przemysłowych, które z natury się do tego nadają: cukrowni, gorzelni itp. Ale faktycznie najprędzej jeszcze możność takiego przystosowania się mają majątki największe, do tego bowiem potrzeba kapitałów i możności przetrzymania czasu przejściowego. Majątki mniejsze (w kategoryi własności większej) z trudnością mogą tego dzieła dokonać; a że przytem właściciele ich mają pokusę, której zagrożeni upadkiem przemysłowcy, niestety, nie znają, mianowicie sprzedania majątku, póki jeszcze bardziej nie straci na wartości, i to sprzedania częściami — więc parcelują. Kto kupuje? Rolnicy zupełnie innej kategoryi historycznej i ekonomicznej: chłopi. Chłopi, którzy coś uzbierali, albo którym ktoś pożycza. Chłop łatwiej znieść może konkurencyę zamorską. Łatwiej mu na małej przestrzeni przejść do uprawy roślin innych, cenniejszych *), tem bardziej, że większe zapotrzebowanie pracy zaspakaja sam zwiększonym, często nadludzkim wysiłkiem, nie potrzebuje płacić najemników, łatwiej mu znieść nawet taniość zboża, bo on nie szuka renty ani procentu, tylko życia, a pracy swej drogo nie ceni. Dlatego też parcelanci mogą więcej płacić za ziemię, niż kto inny, i im się chętniej sprzedaje. Ziemia więc się rozdrabnia. Rozdrabnia się i dla innych powodów: robotnicy przemysłowi kupują drogo ogródki pod miastami, gdzie gospodarują ich rodziny— oczywiście nie na sprzedaż. Prócz tego działa naturalna przyczyna: rozmnażania się ludności wiejskiej. Większa własność chłopska łatwiej się temu działaniu opiera, bo spłaty rodzeństwa są łatwiejsze. Średnia i mniejsza własność chłopska cierpi daleko bardziej. Jest ona bliższa minimum życiowego, już niedającego się zburzyć. Gdy zostaje wciągnięta w zależność pieniężną przez podatki, długi itp., upada, ginie, choć wśród niesłychanych cierpień długo się opiera. Bardzo często jest ona dla właściciela tylko dopełnieniem pracy najemnej na większym folwarku, lub ciężkiej pracy przemysłowo-domowej dla przedsiebiorcy— z wielką dla najmujących korzyścią.

Nie możemy tu przedsiebrać operacyj statystycznych, więc tylko w paru słowach streścimy wrażenie, jakie odnieśliśmy przy rozpatrywaniu najrozmaitszych cyfr. Mówi się czasem o *polaryzacyi*, czyli ciążeniu gospodarstw ku dwóm biegunom — rozmiarów największych i najmniejszych. Średnie zanikają. Jest to trafne, ale trzeba jeszcze rozróżniać dokładniej: otóż a) wielkie majątki, jak dotychczas, opierają się skutecznie; b) średnie i mniejsze z kategoryi wielkiej własności upadają — ulegają parcelacyi. *Parcelują chłopi więksi, zamożniejsi, nie średni i drobni.* Dla tych ostatnich, jeśli próbują, próba nieraz kończy się fiaskiem — niewolą dłużniczą. c) Więc większej własności chłopskiej powodzi się dobrze, natomiast: d) średnia i mała upada pod wpływem innych czynników, niż średnia i mała własność wielka, przez co powiększa się liczba: e) działków najemniczych. A zatem w obydwóch różnych kategoryach: własności chłopskiej i kapitalistycznej, ostają się — więksi, przepadają — mniejsi.

Takie są, zdaje nam się, rezultaty walki o byt wśród rolników. Parę ostatnich wniosków:

Najpierw, program Davida, parcelacya wielkich majątków na działki, mogące zatrudnić i wyżywić jedną rodzinę, i tylko jedną rodzinę, nie może zadowolić chłopów. Albowiem chłop, jeśli mu się powiedzie, z nieodpartą siłą dąży do powiększenia swego gruntu i zatrudniania — wraz z sobą — najemników. Ale o tem nie możemy dziś mówić obszerniej.

Ogólniejsza kwestya: Czy powyższy proces, odbywający się w łonie rolnictwa europejskiego, jest zjawiskiem dodatniem? czy — jak niezaprzeczenie koncentracya przemysłowa — sprzyja cywilizacyi? Zdaniem naszem, nie. Ani pod względem czysto technicznym: bo wieśniak wkłada w ziemię znacznie więcej pracy, niż potrzebaby do otrzymania tegoż produktu w racyonalnych warunkach, więc przyszłość tej formy uprawy zatrzymać nie będzie mogła. Ani pod innymi względami: gdyby rozwój był poszedł drogą podobniejszą do przemysłu, to przy rozwoju większych przed-

*) Często zresztą nie robi tego z własnej inicyatywy, lecz pod wpływem przedsiebiorstw przemysłowych, jak cukrownie, które nim kierują — i wyzyskują go.

siębiorstw działałyby te same, co w przemyśle, potężne, kształcące i przekształcające czynniki na korzyść ludu i podniesienia jego bytu.

Ale — daremne żale. W życiu społecznem niema: gdyby. Średnia własność chłopska wzrasta i wzrastać będzie na niekorzyść mniejszej, obywatelskiej, a drobna— uparcie wegetować. Nie wynika z tego wprawdzie wcale, żeby to zjawisko jeszcze sztucznie popierać, zapomocą jakiejkolwiek interwencyi państwowej, najkorzystniejszej zresztą dla obywateli, pragnących sprzedać ziemię. Ale, jakkolwiek, w myśl Kautsky'ego, bardzo wiele spodziewać się można z punktu widzenia ogólnego rozwoju społecznego po wpływie czynników i żywiołów przemysłowych, wdzierających się już dziś do rolnictwa, to jednak ten wpływ z zewnątrz nie wystarcza, trzeba czynnika postępowego, wewnętrznego; a takim jest niezaprzeczenie, i dlatego na jak najgorętsze poparcie zasługuje — *zrzeszenie* drobnych rolników w najrozmaitszych jego formach. To punkt, na którym, zdaje się, spotkać się mogą David i Krzywicki, idealizatorowie i krytycy zagrody.

Dr. K. Krauz.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Od Nowego Roku zacznie obowiązywać prawo o wynagradzaniu robotników, którzy ucierpieli wskutek nieszczęśliwych wypadków podczas pracy.

— Ministeryum skarbu postanowiło zobowiązać Tow. pożyczkowo-oszczędnościowe do wprowadzenia książeczek rachunkowych i wkładowych w dwóch językach: rosyjskim i polskim.

— Zatwierdzono ustawę kasy pogrzebowej w Lipnie, gub. Płockiej.

— W Wilnie rozpoczęło działalność pierwsze w Rosyi Towarzystwo pomocy w pracy ubogim Żydom.

— Gubernator kijowski skazał 26 Żydów na areszt od kilku tygodni do 3 miesięcy za urządzanie i udział w zebraniach nielegalnych.

— D. 16 b. m. niemieckie Towarzystwo historyczne obchodziło uroczystość 650-letniego istnienia m. Poznania.

Szkoły i wychowanie. W uniwersytecie warszawskim wywieszono ogłoszenie następujące: „Mam zaszczyt zawiadomić pp. studentów uniwersytetu warszawskiego, że za zezwoleniem p. kuratora okręgu powtórnie z d. 14 grudnia r. b. wykłady i praktyczne zajęcia w uniwersytecie zostają zawieszone do następnego półrocza akademickiego, z tem zastrzeżeniem, by zgodnie z okólnikiem ministeryum oświaty z d. 25 stycznia 1902 r., ogłoszonym pp. studentom w przeszłym roku, semestr wiosenny przedłużony był na taką liczbę dni wykładowych, jaką obecnie opuszczono skutkiem zamieszek. Rektor Uljanow."

— W warszawskiej szkole realnej podwyższono opłatę z 60 do 70 rb. rocznie.

— Gazety kijowskie podają następujące zawiadomienie „Zarząd instytutu politechnicznego kijowskiego ogłasza, że stosownie do polecenia p. zarządzającego ministeryum skarbu, instytut zostaje zamknięty aż do nowego rozporządzenia. Studenci, którzyby pragnęli wystąpić z instytutu, mogą otrzymywać swoje dokumenty w kancelaryi. Za dyrektora instytutu profesor N. Czirwinski."

Katastrofy. Na stacyi Kowel, kolei Warszawsko-Bydgowskiej, pociąg kuryerski wpadł na towarowy: służba pociągowa poraniona — podróżni wyszli cało.

— Na stacyi Riazań pociąg towarowy rozbił ścianę i wpadł wewnątrz dworca kolejowego.

Na kolei Uralskiej wykoleił się pociąg wiozący rekrutów — kilku poniosło obrażenia.

Zmarli. Dr. Antoni Skrzetuski, nauczyciel, redaktor *Przeglądu pedagogicznego.*

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani J. Kamieńskiemu w Krakowie. „Katechizm historyi filozofii" Fr. Kirchnera został rok temu wydany w tłumaczeniu polskiem nakładem redakcyi *Prawdy*. Cena książki 2 rb., z przesyłką rekomendowaną 2 rb. kop. 30; do nabycia we wszystkich księgarniach.

Pani Chruckiej w Mohilewie. Nie wyszła jeszcze w całości; dotąd tylko tom I. Możemy przesłać za zaliczeniem pocztowem.

Pani J. Jokisz, w Romanówce. Wychodzi. Można prenumerować za pośrednictwem księgarń warszawskich. Prenumerata kwartalna 1 rb. 50 kop.

OFIARY.

Na wpisy dla uczącej się młodzieży: W. N. z Daszewa rb. 25.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 9 Декабря 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.